

1977

Konrad Turowski (1938–2005)

Dziwność zapisać koniecznie

Na Konrada Turowskiego z Łodzi zwrócił moją uwagę Ryszard Wójcik (patrz s. 467), reporter, który często pisał o kolegach po piórze. Nazwał Turowskiego odpowiednikiem „malarza naiwnego”. Podkreślał jego nadrealizm w widzeniu zdarzeń.

A więc reportaże Turowskiego przypominają dziecięce rysunki? Nie przestrzegają zasad stosowanych przez profesjonalistów? Nie podporządkowują się konwencjom? Używają osobnej techniki? Wyjątkowo cyzelują szczegóły? Powstają jedynie z powodu wewnętrznej potrzeby tworzenia?

Trochę tak. I tak jak malarze prymitywiści mają swoje, często zaskakujące tematy, tak miał je Turowski. Zdarzenia marginalne i dziwaczne, na przykład:

Kolegium do spraw Wykroczeń w Łodzi roztrząsało sprawę: Czy jeśli kierowca się upije i wobec tego nie chce prowadzić auta, więc maszeruje, pchając wóz przed sobą, to jest winien prowadzenia auta po pijanemu? Tak bowiem postąpiła ze swoją limuzyną pewna pani, która wyszła z przyjęcia. Milicja przyznawała, że pijana pani szła, silnik był zimny, nie warczał. Mimo to kolegium pozbawiło ową panią prawa jazdy na rok oraz wymierzyło jej grzywnę.

To pierwsze zdania reportażu *Świadków nie było*. Tekst *Tu mieszka Kostucha* zaczyna się tak:

„Tu mieszka Kostucha!” – taką wizytówkę wymalował ktoś wielkimi, białymi literami na płocie niczym niewyróżniającej się zagrody we wsi niezbyt odległej od Piotrkowa. Na Dzień Zmarłych nieznana ręka zawiesiła na bramie żałobny wieniec.

Reportaż *Pijawa* ma taki początek:

– No więc dobrze, będzie pan pierwszą osobą, która wejdzie do tego grobu – zgadza się Waleria Zjawiona. – Bo tam jeszcze nikt nie ma wstępu – mówi dobitnie.

To opowieść o samotnej, poniżanej kobiecie, która buduje sobie za życia grobowiec. Jedyna książka reporterska Konrada Turowskiego *Prawdziwe nieprawdopodobne* (1977) jest galerią historii nietypowych. Często – jak ta, którą

włączyliśmy do antologii – nie wiadomo, zdawałoby się, po co napisanych. Jakby Turowski uznał, że reporter po prostu ma obowiązek zapisać to, co go zaniekało.

Przy całej pedanterii rzetelnego dokumentalisty – pisał Wójcik – jest on opowiadaczem niezwykle fabularnych historyjek „do czytania”, owych tak chętnie wysłuchiwanym i oglądanym na ekranie – „opowieści niesamowitych”, bajek niezmyślonych, autentycznych „dreszczowców”, które zwykliśmy wywodzić z rozwichrzonych głów fantazjopisarzy, a które – jak uparcie dowodzi łódzki reporter paradoksalista – najzwyczajniej w świecie odnaleźć można, powikłane i dziwacznie spiętrzone w samym naokolnym życiu. Trzeba tylko wiedzieć, jak szukać.

Konrad Turowski urodził się w 1938 roku w Warszawie. Z dziennikarstwem związał się od 1956 roku. Na fali odwilży popaździernikowej rozpoczął pracę w „Expressie Ilustrowanym”, reaktywowanej łódzkiej popołudniówce (za Stalina prasa musiała być przecież poważna!). Był wieloletnim korespondentem warszawskiego „Kuriera Polskiego”. Reportaże publikował w „Odgłosach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Literaturze”. W 1980 roku został przewodniczącym ksz. NSZZ „Solidarność” w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”. W lutym 1981 roku łódzki komitet międzyuczelniany nadał mu odznakę Za Pomoc Strajkującym Studentom. W stanie wojennym był na rencie chorobowej, ale pojedyncze duże reportaże drukował w „Ekspresie Reporterów” (był to wydawany w postaci książki miesięcznik reporterski). Po upadku komunizmu został zastępcą dyrektora Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, a także redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego”.

Pasją Konrada Turowskiego było towarzyszenie strażakom w akcji – wydał nawet książkę dla dzieci *Walczymy z ogniem*. W 1965 roku został inicjatorem Dnia Ojca w Polsce. Jego żona Zofia Turowska opowiada, że uwielbiał słodycze. „Mężczyźni, którzy lubią czekoladę, są dobrymi ludźmi” – mawiał.

Śmiać się nie ma z czego

W wielkanocnym numerze „Dziennika Popularnego” dałem ogłoszenie:

„Osoby, które wyratowały mężczyznę tonącego w szalecie przy zbiegu Politechniki i Cieszyńskiej, proszę o telefon 438-37”.

Ukazało się w rubryce „Różne”. Zapłaciłem z własnej kieszeni tylko sześćdziesiąt złotych, ponieważ udzielono mi pięćdziesięcioprocentowego rabatu należnego wszystkim etatowym pracownikom rsw „Prasa-Książka-Ruch”.

Uciekłem się do tej formy zdobycia informacji, gdy zawiodły inne sposoby. W Prokuraturze Rejonowej Łódź-Górna oświadczono mi autorytatywnie:

– Zdaniem prokuratury pisanie jakichkolwiek reportaży o tym wypadku jest przedwczesne. Będziemy mogli ewentualnie podać interesujące pana nazwiska i adresy po zakończeniu postępowania. Niech pan się zgłosi za miesiąc...

Na nic zdała się argumentacja, że nie jest tu moim celem ani prowadzenie śledztwa na własną rękę, ani ustalenie stopnia czyjejkolwiek winy. Postanowiłem sobie pójść tropem niecodziennego zdarzenia z pogranicza absolutnego nonsensu, możliwie najwierniej odtworzyć okoliczności wypadku właściwie niemającego nic wspólnego z kryminalistyką. Mam też nadzieję, że uda mi się w tym reportażu nie ujawnić żadnych tajemnic, które mogłyby mnie narazić na postawienie w stan oskarżenia za utrudnianie czy wręcz uniemożliwienie śledztwa Prokuraturze Rejonowej Łódź-Górna. Z takim przekonaniem dawałem przytoczone ogłoszenie, nie dzieląc opinii prokuratury ani co do terminu publikacji, ani wyboru tematu.

W rezultacie anonsu zgłosiło się kilkadziesiąt osób. Dokładnie trzydzieści cztery – w tym osiemnaście kobiet. Wszystkie rozmowy rejestrowałem na taśmie magnetofonowej. Oto niektóre:

- To pan wpadł do tego szaletu?
- Jestem reporterem, dałem ogłoszenie, by zebrać możliwie najwięcej informacji...

Kobieta wybuchła perlistym śmiechem.

- Czy pani była świadkiem tego wypadku?
- Nie, jak tam przyszłam, to już go wyciągnęli. – Znów się śmieje...

- Ja w sprawie ogłoszenia...
- Czy pan ratował tego mężczyznę?
- Nie, ja jestem dziennikarzem i chcę o tym wypadku napisać...
- To ja panu nic nie powiem, bo jak przyszedłem, to już było pogotowie ratunkowe i go zabierali...

- Pan dał ogłoszenie?
- Tak, chcę napisać reportaż...
Gromki śmiech.
- Co pani może powiedzieć o tym wypadku?
- Tam było dużo ludzi, ale kto ratował, to ja nie wiem... Śmierdziało okropnie od tego faceta, wszyscy się odsuwali... To chyba wszystko...

- Czteryście trzydzieści osiem trzydzieści siedem?
- Tak.
- Wiem, że pan jest reporterem. Dlaczego ta sprawa pana interesuje?
- Skąd się pan dowiedział, że jestem reporterem?
- Nieważne, niech pan przyjmie, że odszukałem pana adres w książce telefonicznej. Pytam, bo znajomy mi opowiadał o tej historii i obaj pokładaliśmy się ze śmiechu...
 - Czy znajomy zna szczegóły?
 - Jakie szczegóły? Czy to nie wystarczy, że facet poszedł kupę zrobić i wszystko się pod nim zarwało? On chyba był pijany?...
 - O ile wiem, był trzeźwy. Czy pana zdaniem pijany nie ma prawa do pełnego bezpieczeństwa w szalecie publicznym?

To tylko kilka wiernie przepisanych dialogów z dwóch wypełnionych kaset magnetofonowych typu c-90 – razem trzy godziny nagrania. Trzeciego dnia od ukazania się ogłoszenia, gdy już nieco zwątpiłem w skuteczność tej formy odnalezienia osób, które rzeczywiście wyratowały mężczyznę tonącego w szalecie przy zbiegu ulicy Cieszyńskiej i alei Politechniki, zgłosił się wreszcie adresat mojego anonisu.

Edward Stibbe ma dwadzieścia dwa lata. Jest z zawodu kierowcą. Od kilku miesięcy jeździ wywrotką star A-28 numer rejestracyjny 1781-IF w Łódzkim Zarządzie Dróg i Mostów. Od siódmej do piętnastej wozi piasek i szlakę.

Daty zdarzenia już dokładnie nie pamięta. Przypomina sobie, że był chłodny, marcowy dzień, choć świeciło słońce...

– Jechaliśmy od Pabianickiej do alei Politechniki – opowiada. – Na ulicy Cieszyńskiej zatrzymałem się, żeby wpisać do karty drogowej kolejny kurs. Muszę tego pilnować, bo w razie kontroli drogowej zapłaciłbym karę. Stałem akurat koło tego ustronnego budyneczku, który jest w parku między ulicą Pabianicką i aleją Politechniki. Obok siedział mój pomocnik Matusiak. Imienia nie pamiętam, bo jeździ ze mną niedługo. Zająłem się swoją „buchalterią”, korzystając, że uliczka jest spokojna i nasz postój nie przeszkadza nikomu. Okno miałem lekko uchylone. Nagle usłyszałem dobiegające z parku wołanie:

– Ratunku!

Po chwili powtórzyło się. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po pierwszej. To niemożliwe, żeby w biały dzień kogoś napadli w parku – pomyślałem. Na wszelki wypadek wziąłem w rękę lewarek i wyszedłem z samochodu. Pomocnik za mną. Koło szaletu stał jakiś mężczyzna.

– Panie, co tu się dzieje? – zapytałem go.

– A bo ja wiem? Co to mnie obchodzi – powiedział, wrzuszając obojętnie ramionami, i udał się spokojnie w kierunku ulicy Pabianickiej.

Wtedy znów usłyszałem wołanie.

– Ratunku!

Wyraźnie dochodziło z szaletu.

– Ki czort? – powiedziałem do pomocnika. – Pewnie zbrojeńcy się pobili...

Wbiegłem do środka z naszykowanym lewarkiem. Zobaczyłem kurtkę wiszącą na drzwiach, ale nigdzie żywego ducha.

– Panie, tu jestem – usłyszałem jak spod ziemi.

Patrzę, a w pierwszej kabinie dziura w podłodze. Zaglądam i widzę głowę mężczyzny kurczowo uczeponego jedną ręką jakiegoś wystającego pręta.

– Po coś tam włożył, człowieku? – chciałem go zapytać, ale on mnie uprzedził:

– Niech mnie pan wyciągnie – prosił.

Był przerażony. Nie chciałem być na jego miejscu...

Zdałem sobie sprawę, że nie damy rady go sami wydostać. Dziura w podłodze była nieduża. Nie było jak go chwycić, żeby wydobyć na powierzchnię.

– Może jakąś deskę albo drabinę pan przyniesie – zaproponował.

Pobiegłem sprowadzić pomoc. Obok jest baza Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. Wpadłem na podwórze i widzę – stoi drabina. Porwałem ją i wracam biegiem do szaletu. Zobaczył to jeden z robotników i krzyczy:

– Złodziej! Trzymajcie złodzieja!...

Nie zatrzymywałem się, żeby mu tłumaczyć, po co mi ta drabina. Szkoda było czasu. Ten nieszczęśnik przecież ledwie się już trzymał tego pręta...

Właściciel drabiny wpadł za mną do szaletu. W ten sposób było nas już trzech do ratowania. Dziura była tak wąska, że drabina malarska nie chciała wejść. W końcu wsunęliśmy ją odwrotną stroną. Jak wpychaliśmy – dziura się powiększała, odpadały całe kawały podłogi... Mężczyzna położył się na drabinie i tak go wydobyliśmy. Był w szoku. Mówił tylko, że lewa ręka go boli i żeby wezwać milicję... Pobiegnęłam zadzwonić po pogotowie ratunkowe. W bazie ŁPO jest telefon, ale nie mogłam się dodzwonić. Pobiegnęłam więc na pocztę, naprzeciw parku, po drugiej stronie alei Politechniki. Pani, która przyjęła telefon w pogotowiu, najpierw słuchała, co ja mówię, aż wreszcie mi przerwała:

– Panie, nie żartuj pan, my mamy poważniejsze sprawy – powiedziała, chcąc odłożyć słuchawkę. Z pięć osób podchodziło do telefonu, by przekonać ją, że nie robimy kawału...

Nikomu o tej historii nie opowiadam, bo i tak by nie uwierzyli. To nielogiczne, żeby pod kimś zarwał się beton grubości chyba z piętnastu centymetrów. Spotkałem siostrę w tramwaju i zacząłem jej opowiadać, a ona mówi:

– Edek, co ty zmyślasz, chyba jesteś pijany...

Nie zastanawiałem się, że pode mną podłoga wtedy również mogła się zarwać. Byłem na górze, więc moim obowiązkiem było pomóc temu człowiekowi. Całe szczęście, że przytomności nie stracił...

Zadzwoniłem do działu remontów Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. Do telefonu poproszono pracownika, który z ramienia tego przedsiębiorstwa sprawuje nadzór nad szaletami publicznymi w łódzkich parkach.

– Ile dokładnie mamy takich szaletów, nie pamiętam – usłyszałem. – Ale na pewno około dziesięciu, w parkach i na cmentarzach, bo te na przystankach tramwajowych należą do Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. To wszystko są tak zwane szalety suche, czyli nieskanalizowane. Budowano je w pierwszych latach po wojnie. Ten przy ulicy Cieszyńskiej zbudowano w 1950 roku. Remontuje się je, to znaczy odnawia, co roku. Czasem częściej – jak na przykład ktoś ukradnie drzwi albo już jest bardzo brudno. Poważniejszych remontów się nie podejmuje, bo dotąd nie było żadnych pęknięć czy innych sygnałów, że może dojść do wypadku... Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania wywozi co jakiś czas nieczystości, nawet co dwa lata, doły są duże i głębokie... przy ulicy Cieszyńskiej ma głębokość co najmniej dwóch metrów dwudziestu centymetrów. Mierzyliśmy po wypadku. Teraz ten szalet

został zaplombowany i jest zamknięty. Już nie będzie otwarty. W pobliżu, przy rondzie Titowa, jest przecież podziemny szalec skanalizowany... Tak, eksperci badają stan techniczny innych szalec. Zleciliśmy badania ekspertom z NOT-u¹, dokładnie nie wiem, bo to inny dział prowadzi...

Od przedstawiciela ŁPO otrzymałem adres mężczyzny, który stał się ofiarą fatalnego wypadku. Delegacja przedsiębiorstwa odwiedziła go nazajutrz po wypadku. Wyrażono mu ubolewanie z powodu cierpień i poniesionych szkód...

Niech już zostanie, że poszkodowanym jest obywatel „M.R.”, skoro pod takimi inicjałami ukrył go łódzki korespondent „Szpilek”. Inne organy prasowe – jak na przykład „Kulisy”, które również wykorzystają zdarzenie w łódzkim szalecie jako znakomitą okazję do rozbawienia swoich czytelników, nie podały żadnych inicjałów. W gruncie rzeczy nie ma to przecież żadnego znaczenia...

M. R. ma czterdzieści osiem lat i dorastającego syna. Od dwudziestu sześciu lat nieprzerwanie pracuje w jednym z największych przedsiębiorstw budowlanych. Jest z zawodu technikiem i zajmuje stanowisko kierownika działu bezpieczeństwa i higieny pracy w swoim przedsiębiorstwie.

Zastają go z lewą ręką unieruchomioną w gipsie. Czternasty dzień korzysta ze zwolnienia lekarskiego z powodu wypadku w szalecie. Syn jest w szkole, a żona, księgowa, w pracy. Przysiadamy na tapczanie. M.R. nerwowo zapala papierosa.

– Jeszcze teraz spokojnie nie mogę o tym mówić – notuję jego słowa. – Jak sobie pomyślę, jaki marny koniec mógł mnie spotkać w tym bagnie, to na płacz mi się zbiera. Niech pan pomyśli... w takim gnoju zginąć?!...

Rozmowę przerywa telefon. M.R. odpowiada pojedynczymi słowami:

– Tak, prawda... Byłem krok od śmierci... Do tego jeszcze matka w tym czasie miała zawał serca, a ojciec zachorował na zapalenie płuc... Wpadnij kiedyś, to porozmawiamy...

– Właśnie szwagierka dzwoniła – mówi. – Czytała w gazetach o wypadku, ale nawet się nie domyśliła, że o mnie chodzi. Teraz dopiero się dowiedziała, bo zadzwoniła do żony. Ja nie lubię tego wspominać. To było dla mnie straszne przeżycie...

Rozmawiamy o przedsiębiorstwie, w którym pracuje M.R., i realizowanych budowach o znaczeniu priorytetowym. Jeszcze ktoś dzwoni. Ale nie interesują go szczegóły wypadku. Może nic nie wie? W każdym razie ten telefon i kilka wypalonych papierosów sprawia, że sam podejmuje temat, który mnie sprowadził...

¹ NOT – Naczelna Organizacja Techniczna, zrzeszenie samorządnych stowarzyszeń pracowników naukowo-technicznych, inżynierów i techników założone w 1945 roku. Działa na rzecz rozwoju techniki, zajmuje się doszkaltaniem członków, organizuje kongresy, konferencje, targi i wystawy.

– No więc opowiem panu dokładnie, od początku, jak to było. Nie mam przecież niczego do ukrywania. W połowie lutego wziąłem kilkanaście dni urlopu, jeszcze za ubiegły rok. Gdy urlop się kończył, zachorowałem na zapalenie stawów kolanowych. To stara historia. Miałem dwanaście lat, jak w czasie okupacji zacząłem pracować przy myciu butelek w rozlewni wina przy ulicy Piotrkowskiej 175. Od tej pracy zachorowałem na stawy, które co jakiś czas mi dokuczają. Nie chciałem iść na zwolnienie, ale bratowa jest lekarzem i powiedziała, że nie ma żartów. To właśnie był ostatni dzień zwolnienia. Na godzinę dwunastą poszedłem na zastrzyk z penicyliny do przychodni przy ulicy Cieszkowskiego. Później wstąpiłem do apteki – obok przychodni, po raphacholin, który lekarz mi też przepisał. W tej aptece nie było lekarstwa, więc postanowiłem pójść do najbliższej apteki przy ulicy Pabianickiej. Szedłem najkrótszą drogą, przez park. Ja tu znam każdą piędź ziemi. Tu się przecież urodziłem i mieszkam do dziś... Szedłem właśnie przez park, gdy po prostu poczułem naturalną potrzebę... Wie pan, ten budynek wygląda całkiem solidnie. Mówię to już panu jako budowlarz, fachowiec. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może się zdarzyć... Wszedłem do jednej z trzech kabin. Otworzyłem drzwi, powiesiłem na nich kurtkę podbijaną kożuchem, wziąłem ręką za pasek od spodni i w tym momencie się zarwało... Nie wiedziałem, cholera, co się dzieje. W pierwszej chwili myślałem, że to trzęsienie ziemi, że wszystko się zawali... Nie wiem, jakim cudem chwyciłem się prawą ręką wystającego z rumowiska pręta żelaznego. Chciałem pomóc sobie lewą ręką, ale nie mogłem nią ruszyć, tak mnie bolała. Widocznie spadając, uderzyłem nią o beton. Bałem się, że ten pręt, którego się trzymam, urwie się... Zdawałem sobie sprawę, że mojego wołania o ratunek może nikt nie usłyszeć. Niby to centrum miasta, ale tam właściwie nikogo nie ma, bardzo rzadko ktoś przechodzi. Do tego nad głową miałem strop, który tłumiał moje wołanie... Byłem zanurzony niemal po szyję. Nogami nie mogłem dosięgnąć dna... Nie wiem, ile razy krzyknąłem „ratunku!”, gdy usłyszałem, że ktoś wbiega... Nie widział mnie... Bałem się, że sobie pójdzie, a ja zostanę. Nie miałem już siły krzyczeć, powiedziałem tylko: „Panie, tu jestem, niech mnie pan ratuje, bo utonę...”.

Przynieśli drabinę. Jeszcze miałem na tyle przytomności, że powiedziałem, aby starali się wsunąć ją węższym końcem... Resztką sił wciągnąłem się tylko, żeby oprzeć się kolanem o szczebel. Wtedy dopiero puściłem się drutu i chwyciłem drabiny. Gdy już wytknąłem głowę, wiedziałem, że mnie uratują... Ktoś powiedział, żebym wyszedł na dwór. Wstydziłem się, byłem cały utyłtany i cuchnący... Oparłem się o drzewo, bo nie miałem siły gdziekolwiek iść. Podeszła jakaś kobieta: „Co pan taki zielony na twarzy?” – zapytała. Inna

powiedziała, żebym poszedł za nią, to dadzą mi wodę do obmycia się. Poszedłem do bazy ŁPO. Wszystko z siebie zrzuciłem. Jakiś mężczyzna polewał mnie wodą, pomagając się obmyć. Później dali mi stare ubranie robocze. Narzuciłem kurtkę, którą mi przyniesiono z szaletu, i tak wsiadłem do karetki pogotowia ratunkowego... Po prześwietleniu lekarz powiedział, że mam złamaną kość w stawie barkowym lewej ręki... Pielęgniarka zadzwoniła do żony. Jak żona usłyszała, że jestem w pogotowiu, omal nie zemdląca. Nie wiedziała, co się stało.

Jak pan widzi nie jestem olbrzymem. Ważę osiemdziesiąt kilo. Ten strop musiał już być mocno nadwerężony, skoro się zarwał. To przecież strop Kleina. Powinien wytrzymywać obciążenie trzystu kilogramów na jeden metr kwadratowy. Pod wpływem wilgoci, a zwłaszcza amoniaku, musiał ulegać korozji. Dziwię się, że nie sprawdzono dotąd wytrzymałości tych stropów. Są przecież odpowiednie aparaty. Mamy je w naszym przedsiębiorstwie...

Nim przyszedłem do M. R., rozmawiałem z kapitanem Ł. z Komendy Dzielnicej mo Łódź-Górna. Pamięta on, że w 1969 roku w tym samym szalecie utonął starszy mężczyzna. Jego zwłoki znaleziono bodajże w marcu czy kwietniu, gdy brygada MPO przyjechała oczyścić zbiornik kloaczny. Denata zidentyfikowano jako zaginionego, który w grudniu poprzedniego roku wyszedł z domu i wszelki ślad po nim zaginął. Dokładne okoliczności śmierci nie są wyjaśnione do dziś. Poprzestano na hipotezie, że ów mężczyzna zbliżył się do szaletu od strony, gdzie znajduje się otwór do wybierania szamba, w ciemności go nie zauważył, pośliznął się i wpadł, ponosząc śmierć w mazi kloacznej...

M.R. odprowadza mnie do drzwi. Na pożegnanie mówi:

– Niech pan nie podaje mojego nazwiska, najbliżsi wiedzą o tej historii, ale nie chcę, żeby sąsiedzi się ze mnie śmiali, wytykając palcami: „O, to ten, co w gówna wpadł...”.

Konrad Turowski, *Prawdziwe nieprawdopodobne*,
 Łódź: Wydawnictwo Łódzkie, 1977, s. 68–77